

Rozdział I

Gdyby¹ Gasztowt miał sąsiadów, dziwiliby się dziś: śpiewał bowiem. A tam, gdzie mu się melodia wymykała poza skalę głosu, towarzyszył jej dalej, gwiżdżąc z jeszcze żywszym brio². Fakt ten zasługiwał na uwagę, gdyż Gasztowt był bardzo ubogi – dzień był ponury – wreszcie najmniej odpowiednia pora dla radości życia: dziesiąta rano.

Tymczasem, zamiast – jak zwykle – przewracać się na pomiętym i poprzypalonym posłaniu przynajmniej z pół godziny jeszcze, paląc papierosy i dumając nad wynalazkiem, co by zapobiegał spadaniu wałków popiołu na bieliznę i w ogóle tam, gdzie popiołu nie potrzeba – dziś Gasztowt zerwał się natychmiast, umył od stóp do głów, a teraz kończył się golić – przerywając śpiew tylko, gdy trzeba było koniecznie.

Gdyż dziś miłe ciepło panowało w czystej, jak w dzień Wielkanocy, pracowni – łóżko w alkwie było świeżo powleczone, a do golenia miał nowe przyrządy w komplecie i wytworny gatunek mydła. Rzecz jasna, że wstał przed zwykłą południową porą, by się nacieszyć tym świeżo wyczarowanym rajem.

Ale przyczyna owej metamorfozy otoczenia (i samego Gasztowta) była jeszcze radośniejsza: pieniądze bowiem, za pomocą których pracownia została przeobrażona w El Dorado³ – pieniądze te były sankcją⁴ sztuki Gasztowta, potwierdzeniem jego powołania, dowodem wartości talentu: kupiono mu (tak, jemu, G. Gasztowtowi!) aż dwa płótna, i to za trzydzieści pięć⁵ funtów sztuka. Nazwisko zaś kupującego było uwieńczeniem bajki, jaką przeżywał: nabywcą był sam Zopfhaus.

Jak się to stać mogło – nad tym przestał się głowić. Wiedział, że nie zgłębi tajemnicy. Jakim cudem Zopfhaus, marzenie początkujących geniuszów wszystkich pięciu⁶ zamieszkałych części świata – zaszedł raptem do pracowni malarza, który nawet nie śmiał się jako takiego określać (nie wystawiał bowiem dotąd ani razu!) – który w wielkim mieście nie miał żywej duszy, który na razie nie marzył nawet o tym, by zarobić dziesięć⁷ franków swą sztuką – ?! Gasztowt głodował dotąd w miarę, marzył poważnie, miewał chwile mroźnego przerażenia – i malował, bo był stworzony na malarza i uznał, że się z tym należy

pogodzić. Dlatego nie starał się o posadę w banku. Dawał lekcje (łaciny i matematyki), źle płatne (bo też i kiepskie), nigdy nie dostał na pierwszego⁸ tyle, ile by teoretycznie powinien – no, i jakoś dotrwał do dnia, gdy Zopfheim⁹ stanął w zaśmieconej budzie przed brudnym jak nieboskie stworzenie twórcą i zażądał pokazania płócien.

O chwili, gdy posłyszał słowa „Kupuję te dwa. Ofiaruję za nie...”, nie śmiał myśleć.

Gasztowt był chłopcem praktycznym, jak wszyscy ci, którzy nienawidzą dnia powszedniego i jego materialnych zawracań głowy. Więc spłacił wszystkie długi; kupił węgla rude; uzupełnił meble i garderobę; sprawił sobie nieco materiału w lepszym gatunku (a ledwo śmiał go teraz użyć) – no i zostały mu się jeszcze dwa¹⁰ funty. Najmniej trzy¹¹ tygodnie bez trosk ani męki śmiertelnej. A zważywszy, jaką rzadkością były dni wolne od tych na ogół nieodstępnych towarzyszy – szkoda wielka, że teraz właśnie nie mógł pracować. Lecz wiedział już, że to nieuniknione: musi się dopiero odzwyczaić od żądz. Bo na razie dostatki, będące zjawiskiem wyjątkowym i wstrząsającym, wzburzały go zupełnie i paraliżowały jego produktywność. Na to nie było jeszcze rady.

Dlatego też nie zabierał się dziś, jak zwykle, prosto do śniadania (o, dziś na czystej serwetce, z eleganckiej szklanej filiżanki purpurowa herbata – w towarzystwie czarnego chleba i miodu!) – lecz zjadłszy (o mycie nie miał co się troszczyć: zapłacił i posługę na miesiąc naprzód), zastanawiał się, co począć z dniem. Na miejscu nie mógł wysiedzieć; nawet wyśmienite śniadanie nie smakowało tak, jak by powinno. Wędrując z papierosem po pracowni, spotkał własne spojrzenie w lustrze i uśmiechnął się przyjaźnie: o, to rozumiem, przyjacielu. Dziś – wyglądasz przyzwoicie.

Zbliżył się do lustra (jedyne dotąd nie-paskudny mebel w pracowni, odziedziczony po rodzinie: dość już stara, lecz jeszcze możliwa owalna *psyché*¹²). Plamy na tafli, srebrne odbłaski, przyćmienie – nadawały mu charakter z w i e r c i a d ł a. Widać było, że to o d b i c i e rzeczywistości: nierealne, indywidualne, niedoskonałe. Gasztowt lubił swoją *psyché*, dlatego nie zastąpił jej teraz lepszą. – Podeszedł do zielonawej toni (tło zacierało się za nim, jakby powleczone pajęczyną), w której żywa jego, młoda postać *à travers le tempérament*¹³ lustra wyglądała jak zwiedle już, z trudem ewokowane¹⁴ wspomnienie; i jął się sobie przypatrywać, nareszcie z pewnym upodobaniem.

Jesteś ubrany po ludzku, *citoyen*¹⁵ Gasztowt; po raz pierwszy masz prawo do tego tytułu. Tak – jeśli się może własną, nieprzymuszoną, nie kierowaną pracą zarobić tyle, by potem mieć tak najedzoną, ogoloną minę – i tak porządne ubranie, no – to można żądać, by powszechnie uznano twą godność obywatela. – Wnet zaczniesz podatki płacić, towarzyszu! – Ou wa¹⁶, zachmurzył się trochę. Tak znowu bardzo ściśle swego obywatelstwa nie pojmował – prawo przyczyniania się, dzięki owocom swej pracy, do budowania maszyn morderczych, więzień i kozzar – nie wydawało mu się bynajmniej ponętne. Ale cóż zrobić... jaki ustrój jest, w takim trzeba żyć jako obywatel. Chyba że się jest poronionym chłystkiem, niezdatnym do niczego, godnym tylko pewnej dozy trucizny. A w nim dziś dopiero zamilkło głuche pytanie, czy aby on też nie należy do tej kategorii...

Ale teraz był spokojny. Towar, za który płacą, musi mieć wartość; pieniądz to sprawdzian ostateczny, bezapelacyjny. A zatem producent tego towaru ma prawo żyć i tak właśnie pracować.

Zamyślił się. Hm... zapewne, pieniądz... ale to jeszcze zależy od źródła tego pieniądza. Kt o kupuje? Produkcja ma też i moralną rację bytu wtedy dopiero, gdy jest na nią popyt powszechny... aha, więc pisma pornograficzne...? – Nie: gdy jest powszechnie użyteczny, gdy przynosi powszechną korzyść. – To znaczy, że np. złotnictwo nie ma racji bytu...?

Ech, dałbyś raz spokój, zachnął się do swego oblicza (jeszcze dzisiejsze refleksje były tylko zawile; dotąd rezonerstwo¹⁷ tego sobowtóra przyjmowało inaczej deprymujący¹⁸ obrót) i odszedł. Bez kwestii stwierdził swe stanowisko: sztuka ma rację bytu wtedy, jeśli jest dostępna jak najszerszemu ogółowi a przynosi mu korzyść duchową: pogłębia jego świadomość.

Teraz był uspokojony: *Roma locuta*¹⁹. – Funty p. Zopfhausa były o tyle podporą moralną, że fakt nabycia ze strony tak wytrawnego fachowca jest gwarancją wartości, więc i przyszłej sławy. Prędzej czy później Gasztowt domuruje swoją cegielkę w gmach kultury jemu współczesnej.

Tak – ale co począć z dniem?! Zaczynał się nudzić. – Rozejrzał się z przyzwyczajenia za jakimś rysunkiem lub płótnem, wymagającym uzupełnień – ale ściany i sztalugi nagie. Gasztowt niczego własnego nie wieszal sobie na stałe; ani jednego obrazu nie przystroił dotąd ramą – przynajmniej osobiście. To mu nasunęło myśl o wystawie: przecie w jeden

dzień po owej niewiarygodnej wizycie Jerschik, tutejszy handlarz, zaproponował mu urządzenie wspólnej wystawy z innym młodym malarzem o już znanym nazwisku. Gasztowt oczywiście przyjął z radością; kupił pospiesznie ramy do wybranych rzeczy, kazał dopasować i posłać prosto do Jerschika – tak był zajęty stworzeniem sobie mieszkania z cuchnącej lisiej nory, w jakiej dotąd płodził swe dzieła – że jeszcze nie zajął nawet na pierwszą publiczną ekshibicję²⁰ swej produkcji!

Spojrzał na, również nowy, zegarek naręczny: pół do jedenastej. Świetnie; najodpowiedniejsza pora. – Szybko wciągnąwszy jesienny raglan²¹ i rękawiczki, zatrzymawszy się na ledwo parę sekund, by się nasycić podziwem – upajającym gestem wsunął portfel (a jakże!) do kieszeni piersiowej i opuścił nowo usłane gniazdo.